

**ELIZA**

**ORZESZKOWA**

...I PIEŚŃ NIECH

ZAPŁACZE

Eliza Orzeszkowa  
**...i pieśń niech zapłacze**

«Public Domain»

## **Orzeszkowa E.**

...i pieśń niech zapłacze / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Tragiczna historia Czesława o tym, jak trudno odnaleźć swoje miejsce na świecie, będąc wybitną jednostką. Ta krótka powieść z 1902 roku opowiada o mężczyźnie i kobiecie, Czesławie i Janinie, którzy znali się od najmłodszych lat dzieciństwa i których więzi zacieśniały się z każdym rokiem. Oboje byli bardzo ciekawi świata, zdolni, mieli w sobie wiele energii, ale ich uczucia, poza epizodycznymi wybuchami, były przytłumione chęcią zdobywania wiedzy i osiągania sukcesów. Tym, co ich różniło, była wykazywana przez Janinę skłonność do altruizmu, poświęcania się innym. Czesław jest natomiast przykładem argonauty (to miano nadała mu sama Orzeszkowa), ponieważ w trudnych dla Polski czasach stawia na pierwszym miejscu swoje ambicje, a nie pomoc ojczyźnie będącej pod zaborami. Jako wybitna jednostka stawia siebie na pierwszym miejscu, zapominając o obowiązkach wobec kraju, z którego pochodzi. Po latach zmienia swoje poglądy i postawę, ale czy nie jest już za późno?

© Orzeszkowa E.

© Public Domain

## Содержание

I	6
II	13
Конец ознакомительного фрагмента.	18

# Eliza Orzeszkowa

## ...i pieśń niech zapłacze

*»Niech się skarży zielona wierzbina,  
Niechaj płacze tam w polu kalina,  
I wiatr niech zapłacze!  
Niech się skarżą ptaki – tułacze...*

*... ..*

*Niech się skarżą spracowane barki,  
Niechaj płaczą tam w polu fujarki,  
I pieśń niech zapłacze!*

*(Henryk Skirmunt, Poezye)*

## I

Dwóch braci było w jednej rodzinie, a dwie siostry w drugiej. Rodziny przyjaźniły się ze sobą, dzieci znały się i lubiły od lat bardzo wczesnych. Pomiedzy chłopcami w szkolnych mundurkach i dziewczętami w krótkich sukniach zawiązała się przyjaźń, która w miarę upływającego czasu nabierała coraz więcej zaprawy erotyzmu.

Już w latach uniwersyteckich młodzieńców, a pensyonarskich panien, przyszły związek małżeński pomiędzy Jerzym a Krystyną niewątpliwym wydawał się wszystkim, którzy z bliska patrzali na tę parę młodziutką, mającą charakterystyki spokojne, marzenia skromne, uczucia więcej głębokie niż gwałtowne.

Daleko trudniej było przewidzieć przyszłość Czesława i Janiny, którzy o pierwszych brzaskach życia poczęli wiele od życia wymagać, marzeniami, chodząc po drogach wysokich i tem tylko tę górnowzroczność swą usprawiedliwiając, że w umysłach posiadali zdolności niepospolite, a w charakterach również niepospolitą energię i przedsiębiorczość. Co do strony uczuciowej, ta zdawała się być w nich przygłuszona przez ogromną ciekawość umysłową i wyteżone umysłowe zajęcia; jednak i ona niekiedy wybuchała z gwałtem niespodziewanym i wielkim w postaci żalów, zachwytów, przywiązań lub wstrętów, uszczęśliwienia lub rozpacz. I to w nich było jeszcze niezwykłym, że nie częste, lecz w zamian gwałtowne wybuchy ich uczuć spowodowane bywały nie tylko przez zjawiska świata dotykającego, nie tylko przez zdarzenia, w ich osobistym życiu zachodzące, lecz również, a może i częściej jeszcze, przez te, które istnieją lub zachodzą w niewidzialnej sferze myśli, idei, rzeczy wogóle bezosobistych, niejako napowietrznych, niejako obejmujących ziemię atmosferą duchową. Były to natury ambitne, namiętne i zarazem lotne, w sferze abstrakcji przebywać umiejące, jakich to natur przeznaczeniem najczęstszemu bywają szczyty wysokie i niedole wielkie. I ta tylko pomiędzy nimi, od lat prawie dziecięcych, zachodziła różnica, że Janina była od Czesława cichszą, tkliwszą, litościwszą i daleko więcej skłoną do zapominania o sobie na rzecz innych.

Obaj bracia, na wsi urodzeni i na wsi przepędzający czasy szkolnych i uniwersyteckich wakacji, posiadali w sobie zdolność do ukochania natury stron rodzinnych, lecz każdy z nich ukochał ją na sposób inny. Czesław szukał i znajdował w niej dla siebie źródło chwilowych odpoczynków i rozkoszy, od wszelkich zresztą upodobań i marzeń sielskich oddalony nieskończenie; dla Jerzego zaś była ona przedmiotem spostrzeżeń najulubieńszym i tłem, na którym najchętniej rozwijał plany przyszłej swej pracy i wogóle swej przyszłości. Bo w upodobaniach skromny, ciszę nad gwar i samotność nad zgiełk przekładający, z sumieniem przebudzonem wcześniej, Jerzy nie lubił miast wielkich, uciech, których dostarczać mogą, nie pragnął, a w nurtujących je żądzach, współubieganiach się, namiętnościach, dostrzegał pierwiastki bólów, krzywd, nade wszystko upadków ludzkich, na które szczególnie był tkliwy. Cichy, skromny, niewiele o sobie rozumiejący, miał przecież głębokie i silne poczucie godności i obowiązków człowieka. Jak gronostaj, nie znosił na sobie plam; dusza jego jak liść czułkowatej rośliny, dotknięty szorstką ręką, zwiłała się boleśnie, ilekroć dotknął ją widok ludzkich błędów i przemocy z jednej strony, a krzywd i cierpień z innej.

Więc też w chwili, gdy o przyszłości rozstrzygać mu przyszło, wybrał sobie skromny, lecz ściśle z naturą związany zawód leśnika i po kilku latach odpowiednich studyów naukowych rychło pole do pracy znalazł w wielkich i własnością wielkopańską będących lasach. Pole to było tak szerokie, jak ogromna przestrzeń, którą okrywał jeden z najwspanialszych twórców natury i jak długi przeciąg czasu, w którym twór ten pozostawiony był samemu sobie, bez umiejętnej pieczy nad jego bogactwem i pięknnością. Praca to była duża, często mozolna, a wynagradzana skromnie i nieobiecująca w przyszłości żadnych obfitych zdobyczy, lecz bogactwa i zaszczytów Jerzy nie pożądał i puszczać się po nie w strony dalekie nie chciał. Miał dla swej ziemi rodzinnej coś z przywiązania synowskiego i coś z tkliwości kochanka, pragnął drobną jej część przynajmniej w ręku swych piastować i pomyślności jej czy wzrostowi służyć. Takimi były pobudki, które osiedliły go w niedużym, choć znowu i niezbyt

małym domu leśnym, stojącym zdaleka od miast wielkich i od tych dróg dalekich, które człowieka prowadzić mogą do pewnego rodzaju wielkości.

Wkrótce potem nie był już w domu tym sam jeden: zamieszkała w nim także, jako żona jego, mała, zgrabna, jasnowłosa, różowa, wesoła i wiecznie czynna Krysią. Niedawno śmierć zabrała jej ojca i Jerzy, tak jak nad kawałkiem ziemi rodzinnej, zapragnął roztoczyć opiekę nad ukochaną kobietą, myśli o rozłączeniu się z tą, tak jak z tamtą, znieść ani nawet przypościć nie mogąc.

Nic więc w człowieku tym nie było osobliwego, olśniewającego, nic z tego, co wyobraźnię zaciekawia lub zachwyca, i jeżeli cośkolwiek zbawić go mogło od zarzutu pospolitości, czynionego zazwyczaj ludziom skromnym, czystym, uczciwym i pracowitym, była to chyba głębokość jego uczuć, czystość pożądań, odraza do zdobyczy nieuczciwych, oraz gatunek pracy, w której, obok biegłości fachowca, mieścił się rzut oka na naturę kochanka i artysty.

Inaczej wcale stało się z Czesławem, dla którego wszystko w świecie wiedzy i pojęć było z łatwością dostępnym, a w świecie rozkoszy i chluby namiętnie pożądanym. Namiętnie pożywał on wszelkich bogactw świata, od tych, które polegają na zdobyczach nauki, na wzruszeniach, sprawianych przez sztukę, na tworzeniu dzieł wysokiej myśli, aż do tych, w których taje i płonie z upojenia i rozkoszy zmysłowa natura człowieka.

Niezwykłą urodą męską obdarzony, wymowny, płonący tajemniczym ogniem tysiąca żądz, tysiąca myśli i tysiąca wciąż rozedrganych strun wrażliwości, wcześniej zachwycać, podbijać zaczął szerokie koła towarzyskie i liczne niewieście serca. Wcześniej stawać się zaczął ulubieńcem wszystkich, którzy go znali z bliska i przedmiotem najpiękniejszych ich nadziei. Nikt nie wątpił, że czeka go przyszłość wielka, co znakomicie wspierało własną jego w nią wiarę. Zarówno w dziedzinie nauki, jak w dziedzinie szczęścia, hasłem jego zdawało się być: osiąść wszystko! Niepodobna byłoby nikomu przewyższyć go w zapale i wytrzymałości, z którymi oddawał się pracy naukowej. Nie jedną dziedzinę wiedzy usiłował brać we władanie swe, ale i te również, z którymi tamtą łączyło sąsiedztwo lub pokrewieństwo, a że nauki wszystkie prawie są sobie pokrewne i bliskie, więc jedną, z łatwością niepospolicie zdolnego umysłu, podbijając, ciekawą myślą przebiegał w kierunkach różnych szerokie niwy innych. Wchłaniał w siebie najpotężniejsze z tchnień i najwybitniejsze z widoków całej krainy ludzkiego umysłu i może z tej przyczyny, jak również i dlatego, że w naturze swej miał więcej wrażliwości niż hartu i więcej namiętnych popędów, aniżeli silnej woli, jego wiary i niewiary, jego tak zwane zasady i przekonania, posiadały nietrwałość gmachu, zbudowanego ozdobbnie, lecz którego ściany kruszą się pod uderzeniami wicherów, przylatujących ze wszystkich stron świata.

W gmach pojęć Czesława uderzały, oprócz zewnętrznych, wichry podnoszące się z własnej jego duszy, która była podobna harfie mającej złote, lecz w zgodny akord niesharmonizowane, struny.

Najślabszą stała się wkrótce struna uczuciowa.

Przez prace umysłowe, przez myśl o samym sobie, o swych prawach, żądaniach, nadziejach pochłonięty, z radością rzucający się we wcześniej przed nim otwarty świat blasku i użycia, mało miał czasu i chęci do spostrzegania ludzkich losów i cierpień, do uczuwania względem ludzi i ich czynów trwałych pociągów lub odraz. Tyle energii zużywał na polach tamtych, że na to, z którego wyrastają miłość i litość, przywiązanie i współczucie, cześć i potępienie, mógł jej przynosić niewiele. Ci, którzy jeszcze niedawno byli świadkami gwałtownych czasem uniesień jego natury uczuciowej, zdumiewali się teraz na widok zubożenia, które okazywał budzącym je niegdyś ludziom i rzeczom. Dla wszystkich zresztą stało się wkrótce pewnością, że o ile brat młodszy w postępkach i postanowieniach swych przeważnie rządził się uczuciem, o tyle nad starszym rządy coraz wyłączenie obejmował rozum. Wielu cieszyło się szczerze z takiego skierowywania się młodzieńca, powszechnie lubionego, i uciecha ta byłaby słuszną, gdyby nad rozumem nie brał czasem przewagi samolubny, praktyczny rozsądek i gdyby nie wyrastały z niego niekiedy pewne zgniłe owoce, znane pod imieniem sofizmatów.

Jakkolwiek bądź, Czesław, w miarę wzrastania w wiedzę, w powodzenie wśród ludzi, w myśl o własnej przyszłości i tych świetnościach różnorodnych, które ją pożyłocić i wybrylantować miały,

obojętniał dla rodziny, dla wszystkiego, co rodzinne i dla dziewczyny, o której wszyscy niedawno myśleli, że jest mu drogą, że jest nawet wybraną, przyszłą towarzyszką jego życia.

Ona, Janina, małowówna i skromna, tak samo przytem jak Czesław, pracę umysłową lubiącą, zdolna do niej i nią zajęta, zdawała się tego obojętnienia dla niej przyjaciela lat dziecięcych i młodzieńczych nie spostrzegać lub o nie się nie troszczyć. Że jednak spostrzegą i troszczyła się, zdradzały to jej coraz częstsze, smutne zamyślenia i długie, uważne spojrzenia, które zatapiała w jego twarzy, ilekroć on tego widzieć, ani spostrzegać nie mógł. Zdawać się wtedy mogło, że oczy tej dziesiętnastoletniej dziewczyny nie miały siły oderwać się od rysów tego o lat kilka starszego od niej młodzieńca i że serce jej pragnęło oczyma dotrzeć do głębi jego serca.

Zresztą, ku niemu również wracały niekiedy dawne pociągi i wzruszenia. Zbliżał się wtedy do Janiny, i zdarzały się pomiędzy nimi momenty, podobne do motyli, muskających lekkimi skrzydły w półrozwinięte kwiaty. Lecz były to tylko momenty, i po ich przejściu nie rozwierały koron swych na słońce radości w półrozwinięte uczucia. Jej dziewicza skromność i duma, jego powściągliwość oględna i wewnętrzny uśmiech lekceważenia dla wszystkiego, co było sentymentem i nierozważnym puszczaniem się na rzekę czułości, powstrzymywały na ustach obojga słowa wyraźne i szczerze, gasiły iskrę natychmiast, gdy zagroziła rozpaleniem się w płomień.

I stało się, że dnia pewnego, Czesław uwiadomił swych blizkich o wkrótce nastąpić mającym wyjeździe swym w okolice gór Uralskich, kędy niezwykle zdolności jego i zręczność, z jaką stosunki wśród ludzi wpływowych zawiązać potrafił, wyjednały mu stanowisko nadspodziewanie wysokie i w rozmaite korzyści bogate. Otworzyły się przed nim wrota karyery świetnej, dla ludzi rodu jego bardzo rzadko dostępne; wstępuje więc w nie bez wahania i namysłu.

Nikt postanowienia tego odmienić nie próbował, bo jedni byli olśnieni i cieszyli się, a drudzy przekonani byli o nadaremności wszelkich w tym kierunku usiłowań. Ludzi widok rzeczy błyszczącej często olśniewa w ten sposób, że stają się ślepyi na wszystko, co nią nie jest i cieszą się ogromnie. Potem, przychodzi moment, że ślepotą ich przemija i wtedy znowu, biedacy! ogromnie się martwią.

Jerzego świetny los brata nie olśnił, ale po krótkich próbach, zaprzestał odwracać go od drogi wybranej, bo zrozumiał dobrze, jak słabą w obec siły namiętności musi być siła najwymowniejszego choćby słowa. Czesław zaś ludził się, myśląc, że postępuje za wskazaniem rozumu; w świat szeroki gnały go namiętności, przeciw którym Jerzy czuł się bezsilnym i tylko, w jakiejś przedostatniej chwili nie mógł tego przenieść na siebie, aby kilku słowy nie wspomnieć bratu o Janinie. Wtedy piękne oczy Czesława zamigotały niespokojnie, lecz wnet niepokój ten zastąpiła wesołość żartobliwa.

– Panna Janina! Cóż? Śliczna to osóbką, dla której od dzieciństwa prawie miał sympatyę i na zawsze zachowa przyjaźń. Ale rzeczy tego rzędu, co sympatya, przyjaźń etc., człowieka z jasnym poglądem na świat i życie do niczego zobowiązywać nie mogą. Tak zaraz, u samego początku drogi krępować się więzami, byłoby szaleństwem, w które człowiekowi rozumnemu popaść niepodobna. On Czesław, wie dobrze, czego chce, do czego dąży; nie wstępuje w życie jak ślepiec, dający się prowadzić lada podanej ręce. Trzyma przed sobą dobrze narysowany plan swej przyszłości, od linii jego nie odrywa oczu i widzi jasno, że dla marzeń, dla przesądów nierozsądnych miejsca w nim niema. Musi on, a nawet powinien wyzyskać dla swej indywidualności wszystkie siły, którei obdarzyła go natura i wszystkie pomyślnie wypadki, które, daleko więcej niż losowi, zawdzięcza własnemu rozumowi swemu i własnej zręczności. Dlatego właśnie wypadki te znalazły się na jego drodze, że uwolnił się od przesądów, mocno w społeczeństwie jego zakorzenionych. Przesądem jest, że człowiek przez miłość dla ziemi, czy dla kobiety, czy dla jakiejś grupy ludzi, wyrzekać się powinien doprowadzenia swego indywidualnego wzrostu do miary możliwie najwyższej, i zdobywania w mierze najwyższej tego, w czym upatruje swoje szczęście. Uszczęśliwianie siebie jest uszczęśliwianiem jednego z członków ludzkości; gdyby wszyscy na ziemi ludzie umieli uszczęśliwiać samych siebie, cała ludzkość byłaby szczęśliwą. Jego zaś szczęście nie może być drobną gwiazdką, która smutnie i drżąco świeci nad skrawkiem ziemi, powleczonej szarzyzną i zmrokiem. Jego szczęście musi

być tarczą słoneczną, gorejącą nad przestrzeniami szerokimi, przyświecającą gmachom wysokim i potężnym.

Jego praca, mająca być głównym składnikiem jego szczęścia, nie może chadzać wązkimi szlakami ścieżyn i trzeba jej dróg szerokich, dalekich, bijących zdrojami myśli, bogatych w różnorodną radość życia, z której myśl pije swą trwałość, swą moc, swój rozpęd wszerg i w górę. Tu wzrastać mogą gatunki nadziei tylko nikłe i blade, jego zaś nadzieje wzrostem i płomiennością dorównywują wzrostowi jego uzdolnień i płomienności jego potrzeb, duchowych zarówno jak fizycznych. Bo na żadną część swojej istoty, swojej odrębnej od innych indywidualności, na żadną część fizycznej zarówno jak duchowej swej natury nie chce i nie zamierza on nakładać sztucznych hamulców i tłumików, ale, przeciwnie, chce i zamierza dać im wszystkim pełen bieg, pełen rozwój, pełne zadośćuczynienie, aby wszystkie razem, zadowolone, wyćwiczone, doświadczone, zharmonizowane, wytworzyły z niego typ, czy wzór, w pełni rozwiniętego, silnego i szczęśliwego człowieka.

Kędyż w takim planie życia mogłoby znaleźć się miejsce dla tak uroczej, lecz zwykłej istotki, jaką jest panna Janina, i jakąż czynność spełniałaby ona mogła we wznoszeniu budowy życia, tak wysokiej i skomplikowanej? Nie przeczy temu, że rozłącza się z nią z niejakim żalem i że pozostanie w nim wspomnienie o niej na zawsze przyjazne, a przez czas jakiś może nawet nieco tęskne, ale trudno! Człowiek zdążający drogą pełną przeszkód do celu dalekiego i mający silne postanowienie stanięcia u celu nie może oglądać się za wyrastającym u brzegu drogi kwiatem, ani czasu tracić na jego zrywanie, ani zajmować sobie dłoni jego niesieniem... Nakoniec, pewnym jest, bo z własnych ust jej nieraz słyżał, że panna Janina nie podziela wszystkich przekonań jego i na wszystkie jego dążności nie przystaje. Czy Jerzy zaprzeczyć temu może?

Jerzy nie mógł temu zaprzeczyć. Owszem, posiadał również pewność, że w tej młodej dziewczynie, wytworzał się i już się nawet wytworzył, pogład na świat i życie, na wielu punktach niepodobny do tego, którym kierował się i kierować się zawsze postanowił Czesław.

– Widzisz więc, Jurku, że byłby to, zamiast harmonii, zgrzyt!

I tem zakończeniu rozmowy zabawiony, na nutę żartobliwą wyśpiewał:

Idźmy każdy w swoją drogę,  
Ja cię wiecznie będę... wspominać  
Ale twoim... być nie mogę.

Wesoła twarz jego, z błyszczącymi oczyma i śmiejącymi się ustami, stanowiła sprzeczność z tą ciężką chmurą, która spadła na czoło i oczy Jerzego. Niepokój o brata spłynął mu na dno serca i uczyił je bardzo ciężkiem.

Zajęty swoim planem, swoją budową, swoją drogą, swymi przygotowaniem i obrachowaniami, Czesław pożegnał się z Janiną i z krewnymi po przyjacielsku, lecz na prędce i raz już tylko, gdy żegnał się z bratem, objawiły się w nim uczucia dawne, – przynajmniej objawić się im pozwolił. Ta chwila pożegnania, przepojona gorącym wzruszeniem obustronnym, głęboko zapadła w serce i pamięć Jerzego. Pomimo podstawowych różnic zachodzących w ich poglądach i charakterach, bracia kochali się bardzo.

Co myślała i czuła Janina po odjeździe Czesława i zupełnie, jak się zdawało, z nim rozstaniu, nikt z razu napewno nie wiedział. W rzeczach serca dziewczyna była jak mimoza; nie można było ich dotykać bez zadawania bólu. Jednak skrytość jej była tylko wstydlivością, towarzyszącą naturom wytwornym i z samego już instynktu wysoce moralnym. Ustąpiła też raz przed zaufaniem i może wezbranym żalem. Janina przyszła raz do świeżo zamężnej siostry i po chwili spokojnej rozmowy, z nagle wybuchającym płaczem rzuciła się jej na szyję. Krysia przyczynę płaczu tego odgadła, lecz nic o niej nie mówiąc, przycisnęła tylko siostrę do swego szczęśliwego serca i nieśmiało zapytała:

– Cóż teraz będzie? Co uczyni? Czemu się zajmie? W czym znajdzie wsparcie i pociechę? Bo przecież wiecznie tak smucić się, smutkiem zachmurzać młodość i zatruwać siły...

Janina wyprostowała się, szybko stłumiła łkanie i łzy otarła z oczu.

– Cóż? To prawda! Mam młodość i siły, mam miłość dla nauki i litość dla ludzi...

– Litość! – z niejakim zdziwieniem powtórzyła Krysia.

Tak, Janina od czasu pewnego zaczęła gorąco, głęboko litować się nad ludźmi.

– Tyle najrozmaitszych cierpień i nieszczęść... a przytem tacy słabi i mali...

Po krótkiej chwili dodała:

– Najczęściej wtedy słabi i mali, gdy się im zdaje, że są bardzo silni i wielcy...

Cichutko, przy samem uchu siostry Krysia szepnęła:

– Czy mówiąc to, myślisz o Czesławie?

Janina potakująco skinęła głową i znowu z pod rzęs jej spłynęły sznury łez. Ale znowu i z wielką siłą płacz powściągnęła.

– To tylko raz... ten raz jeden, przed tobą, Krysiu. Co pocznę? czemu się pocieszę? Służyć będę ludzkim cierpieniom i nieszczęściom...

Splakane oczy jej błysnęły jak szafiry w słonecznym świetle, po ustach różowych przewinał się uśmiech dobrej nadziei.

– Ale wpierw, przedewszystkiem, trzeba mi nauczyć się służyć...

Wkrótce potem wyjawiała swym bliskim chęć i zamiar udania się na jedną z zagranicznych wszechnic dla odbycia tam studyów naukowych. Nikt temu przeszkód żadnych nie stawiał; przeciwnie, zdolności jej umysłowe zdawały się wszystkim wystarczającymi do osiągnięcia celu tak już często przez kobiety osiąganego, że zadziwiać i do oporów skłaniać przestał.

Janina z wielką prostotą rzekła:

– Chętnie zostałabym siostrą miłosierdzia, ale ponieważ nauka zaciekawia mię i pociąga, zostanę lekarką.

Od wyjazdu Czesława, w strony zauralskie upłynęło lat prawie dziesięć i tyleż od zamieszkania w leśnym domu Krystyny i Jerzego. Spotkali oni oboje na tej sporej już przestrzeni czasu niemało trosk i trudów, lecz ani razu nie zaszło im drogi nieszczęście. Pogodę serc ich, stała pomimo trosk i trudów, przyćmiewała jedna tylko chmura. Czesław, który pisywał do brata zrazu często, potem rzadziej, od lat kilku pisywać przestał. Nie pomogły ze strony Jerzego i Krystyny zapytania, wyrzuty, naglące prośby; żadna wieść bezpośrednia z owych stron dalekich od tego człowieka bliskiego nie przebywała, a strony były tak dalekie, że żadnej wieści pośredniej znikąd i od nikogo powzięć było niepodobna. Jakby w wodę wpadł! Jakby umarł!

Ale nie umarł. W latach ostatnich szeroko po świecie rozeszła się sława naukowego dzieła jego, które znawcy za znakomite ogłosili.

Jerzy z jednej ze swych rzadkich wycieczek w świat przywiózł to dzieło i po chciwym przeczytaniu miał przez dni kilka ciężką chmurę na czole i w oczach. Było ono mądre i świetne, uczone i oryginalne, ale... tak wielka różnica w przekonaniach, w dążnościach, w mowie, panującej na ustach jednego z braci i pod piórem drugiego...

Od lat kilku tedy przestrzeń ich dzielącą zaległo milczenie nieprzerwane i sporo czasu przeminęło, odkąd Jerzy powiedział sobie, że nie ma brata. Bo taka różnica... i takie zapomnienia równają się śmierci. Jednak myślał o nim często. Zabraniał sobie myśleć i myślał znowu, nie chciał żałować i żałował, zapominał, a wspomnienie biegło za nim i niespodziewanie chwyciło go za serce... Taką już jest natura związków rodzinnych i takim było serce Jerzego.

Cicho, w pogodny wieczór czerwcowy, stał dom leśny, z gankiem, opiętym gęstwiną rozkwitłych nasturcyi i powojów, z oknami otwartymi na zieloność lasu. W oknach i pod oknami było mnóstwo kwiatów, których zapachy łączyły się w powietrzu z dogasającą wonią żywicy i nadlatującą z lasu świeżością rosnącego wieczoru.

W jednym z okien, nad kwiatami, wśród białych firanek, wypukle od ciemnego tła wnętrza odrzynała się głowa starej kobiety, z siwymi włosy, z delikatną, uwiedłą twarzą i oczyma spuszczone na karty otwartej książki. Na twarzy tej uwiedłej i cierpiącej rozlewała się jednak słodycz dogasającego w zadowoleniu serca.

Na ganek wyszła Krysia i zaraz spotkała się z mężem, który nadchodził szeroką drogą, przerywając las w pobliżu domu. Powitali się przyjacielskim uściśnieniem dłoni.

Krysia była wesołą, Jerzy wydawał się zmęczonym, ale pogodnym. Zapytał czy dzieci są w domu. Odpowiedziała, że z Janką poszły do lasu, aby zbierać storczyków, tych białych, pachnących, które to przed kilku dniami rozkwitły.

– Janka przepada za kwiatami, więcej jeszcze odemnie, a dzieci ją naśladują... małe małe małe!

Zaśmieli się oboje.

– Zdaje się, że Jance dobrze jest u nas...

– Oddawna nie widziałem jej tak wesołą. Co za wspaniały pomysł mieli ci jej koledzy, przysyłając ją tu dla wypoczynku i wzmocnienia się na zdrowiu. Codziennie przybywa jej siła, świeżość...

– Cieszy mnie to niewypowiedzianie, Wszakże<sup>1</sup> to siostra twoja, Krysio, i doprawdy bardzo miły jest ten doktorek nasz w różowej sukience.

Znowu zaśmieli się wesoło.

Na ganek weszła niemłoda służąca, wysoka, barczysta, z twarzą szeroką, płaską, dobroduszną, trochę też pomarszczoną i z tak powolnymi, że prawie majestatycznymi ruchami, poczęła stół do wieczery nakrywać.

– Nie widziałaś, Dębsiu, co robi matusia?

– Siedzi w swoim pokoju przy oknie i książkę czyta. Już mówiłam, że o zachodzie słońca nie trzeba czytać, bo oczy od tego boją... ale nie, czyta.

– Nieposłuszna! – żartował Jerzy.

Dębsia, powoli wyraz po wyrazie wymawiając, odcięła się jednak.

– I pan, dzieckiem jeszcze będąc, nieraz mnie słuchał i wychodził na tem dobrze.

Krysia podskoczyła i gęste pnącze pomiędzy słupami ganku nieco rozchylając, zapytała:

– Czy matusia przyjdzie do nas na wieczerzę, czy zanieść ją do pokoju?

Z za pnączów doszedł głos słaby i łagodny:

– Do pokoju, moje dziecko; lękam się wilgoci wieczornej.

– Dobrze, zaraz przyniosę.

– Nie, nie – sprzeciwił się głos. – Janka niech przyniesie, tak dawno już jej nie widziałam.

Krysia uśmiechnęła się do męża.

– Niema jeszcze dwu godzin, jak Janka odeszła i – już dawno.

– Cóż? Przywykły do siebie, ciągle są z sobą i przytem – faworytka.

– Słusznie – dodała Krysia i powiedziała Dębsi, że z podaniem wieczery trzeba na powrót z lasu Janki i dzieci poczekać.

Potem usiadła na ławce obok męża i oparła na jego ramieniu swą złotą i różową głowę. Nie mówili już nic. Piękny wieczór nawiewał do oczu i ich zadumę, na usta milczenie.

Dokoła domu, z bliska, z daleka, ze stron wszystkich las, przez zachodzące słońce pożłocony i zaróżowiony. W lesie rozlegał się szczebiot ptaków, pełen tych pieszczotliwych tonów, z jakimi po gniazdach dzieci układają się do snu nocnego. Na gospodarskim obejściu domu, z za drzew niewidzialnym, porykiwały krowy, zabeczały owce i umilkły. Kogut po raz ostatni w dniu tym zapiał i umilkł. Kędyś w lesie ktoś przeciągle huknął, ktoś na kogoś przeciągle zawołał i echo tuż za domem huknęło, zawołało.

---

<sup>1</sup> wszakże. [przypis redakcyjny]

– To Janka zwołuje dzieci. Już wracają... – szepnęła Krysia.

Wązki rąbek tarczy słonecznej zniknął za lasem i w głębiach lasu, błąkać się poczęły rubinowe łuny. Dom z gankiem, pełnym kwitnących pnączów i siedzącą na nim w milczeniu parą ludzi, wydawał się obrazem sielanki, pełnej wdzięku. Zdawać się mogło, że aniołowie niewidzialni rozpinają nad nim błogosławiące skrzydła spokoju i poezji.

Wtem w dalekiej dali leśnej coś jęknęło, umilkło i zajęczało znowu ostro, przeciągle, raz, drugi, trzeci.

Jerzy począł słuchać. Znał dobrze wszystkie głosy lasu, lecz tego nie rozpoznawał. W taki sposób nie odzywają się drzewa, ani ptaki, ani zwierzęta.

– Co to? – zapytała Krysia.

Wtedy właśnie to coś nierozpoznawanego poczęło stawać się nieustannem i coraz bliższym, jęczało żałośnie, wydawało dźwięki metaliczne, przewlekłe, to krótkie, zdawało się wyrzekać, płakać, przywoływać.

Coś z dalekiej przestrzeni przybywało, coś drogą leśną coraz prędzej biegło ku sielance, zatopionej w ciszy, w drzewach, w kwiatach, w woniach leśnych, w słodkim spokoju.

Jerzy podniósł głowę i rzekł:

– To dzwonek pocztowy!

## II

Młodzieńczym ruchem wyskoczył z bryczki pocztowej wysoki, barczysty mężczyzna i w pośpiechu płaszcz podróżny na bryczkę z ramion opuściwszy, stanął pod rozkwitłymi nasturcyami, wahający się, zmieszany. Jerzy na spotkanie gościa postąpił kilka kroków, jakby oczom własnym nie wierząc, stanął, zawołał: Czesław! i rzucił się na szyję przybyłemu, do którego jednocześnie Krysia wyciągała z powitaniem obie ręce.

Przez minut kilka krzyżowały się na ganku zapytania i odpowiedzi krótkie, śpieszne, nie prawie nie mówiące, bo wychodzące z piersi dyszących ciężko od wzruszeń różnorodnych. Dziwnie mieszały się w tych wzruszeniach radość z bolem, z tem zmieszaniem bolesne, którego doświadczają ludzie niegdyś bardzo sobie bliscy, a oddawna nie wiedzący już wzajem o sobie nic.

Czesław wpatrywał się w brata.

– Zmieniłeś się trochę i... nie zmieniłeś się wcale. Na twarzy zmieniłeś się... trochę... cóż? Czas długi... ale... O Boże! żaden najdłuższy opis nie mógłby tyle powiedzieć, żeś zawsze ten sam, ten sam... jak ten wykrzyk serdeczny, którym mię powitałeś. A jednak... miałbyś prawo... miałbyś prawo...

Jerzy, biorąc rękę jego w swoją, śpiesznie przerwał:

– Mam prawo kochać cię i cieszyć się... że nakoniec cię zobaczyłem.

Byli w tej chwili sami. Krystyna wbiegła do wnętrza domu.

– Przebaczasz! – rzekł Czesław – wspaniałomyślnie i po chrześcijańsku przebaczasz tyloletnie milczenie moje i wszystkie i t. d. Przebaczenie, to, mój drogi, ziarno pieprzu, owinięte w słodki listek dobroci... Byłeś i jesteś zawsze dobry... szło ci zawsze o to przedewszystkiem, aby być dobrym... Może i miałaś słusność... Trudno wiedzieć, kto na tym świecie ma słusność, a kto jej nie ma... Co do mnie, wdzięczny ci jestem za to powitanie prawdziwie braterskie i za... to przebaczenie, ale rzecz dziwna, sam temu dziwię się... radości takiej, jakiej spodziewałem się od tej chwili, nie czuję... Nie jechałem, lecz leciałem tu po tę radość... myśląc, że wniebowziętym będę, stając na progu twego domu... Tymczasem teraz czuję, zdaje mi się, że kto wie, może, może nie powinienem był tu przyjeżdżać...

Czoło i oczy Jerzego okryła ta charakterystyczna u niego chmura, która polegała na zbiegnięciu się brwi nad opadłymi w dół powiekami. Z cicha rzekł:

– W słowach twoich, Czesławie, jest dużo goryczy, ale to przejdzie... miejmy nadzieję, że przyjdzie, a tymczasem z przyjaźnią i błogosławieństwem bądź powitany nietylko przezemnie, ale i przez tę ziemię, do której powracasz...

– Powracam! – powtórzył Czesław. – Nie, nie powracam. Rzadko kiedy człowiek może powrócić. Ale to prawda, przybyłem w odwiedziny nietylko do ciebie, lecz i do niej także. To prawda.

Wstał i z brzegu ganku zaczął po otoczeniu domu się rozglądać.

Męskiej urodzie jego czas nic nie ujął, chociaż odmienił ją nieco. Kiedy odjeżdżał, był szczupłym, wysmukłym młodzieńcem. Teraz kształty jego, nie utraciwszy nic ze swej harmonii, nabrały dojrzałości i powagi. Znajdował się w pełnym rozkwicie męskiego wieku i posiadał w pełni właściwą mu siłę, lecz świeżość młodzieńczą utracił. Zachowane bogactwo włosów sprzeczało się z czołem nieco zmiętem i wyrazem oczu niespokojnym pod zmęczonemi powiekami. Wyglądało<sup>2</sup> to na ślady pracy wyteżonej i zmartwień tajemnych. W postawie, w twarzy, w ruchach, miał wiele pewności siebie, rozumu i siły, lecz pogody i spokoju w nich nie było.

U brzegu lasu dał się słyszeć coraz wyraźniejszy gwar głosów dziecięcych i wkrótce z punktu już bardzo niedalekiego doleciał kobiecy wesoły wykrzyk:

– Kto prędzej do domu dobiegnie? kto prędzej?

---

<sup>2</sup> Wyglądało. [przepis redakcyjny]

Kędyś za drzewami rozpoczął się wyścig snąć zawzięty, bo towarzyszyły mu śmiechy i wesołe krzyki dzieci, aż po kilku minutach ukazała się gromadka z gęstwin leśnych wybiegająca i zdążająca ku domowi. Biegła po gładkim i rośnem podścielisku kawałka lasu, z którego wzbijały się rzadko rozstawione kolumny sosen. Mniemaćby można, że pomiędzy kolumnami biegły krzaki paproci i białych storczyków, tak wielkie pęki roślin tych niosło każde z biegnących dzieci, a na czele gromadki, z takimże rozkwieconym pękiem w ręku biegła dorosła kobieta w różowej sukni, która o kilka kroków od ganku zdyszczanym głosem zawołała:

– Le reine est morte, vive le roi! Przekwitła konwalia, rozkwitł storczyk! Oto... żniwo!

Ostatnie słowa wymówiła głosem podciętym, bo spostrzegła stojącego obok Krystyny mężczyznę.

– Janko, czy nie poznajesz?

Poznali się nawzajem i byli tak zdumieni, że na chwilę oniemieli.

– Pan... tu?

Z głębokim ukłonem dotknął ustami jej ręki.

– Góra z górą...

Nie dokończył. Podnosząc głowę, spotkał się oczyma ze spojrzeniem dwojga oczu szafirowych, szeroko otwartych, rozbłysłych i pomyślał: Gwiazdy!

– Nie spodziewałem się panią tu znaleźć...

– Ani ja pana zobaczyć...

Słowa były zwyczajne, lecz głosy więzły w gardłach. Janina machinalnym ruchem poprawiała sobie włosy, ale poprawić się nie dawały, złotymi pasmami wciąż opadając dokoła policzków, których doskonały owal i przeźroczytą białość powlekły blade rumieńce.

Dębsia zwykłym sobie majestatycznym krokiem weszła na ganek i postawiwszy na stole wieczerzę, witała gościa z szerokimi uśmiechami na dobroduszej twarzy.

Zasiadając do wieczerzy, Krysia szepnęła coś siostrze, która natychmiast i śpiesznie weszła do domu.

– Poszła do matki naszej, która po kilku godzinach niewidzenia jej niepokoi się i tęskni.

Więc i matka tu jest! Prawda! Czesław pamięta doskonale tę miłą, dobrą kobietę, którą niegdyś sam wraz z jej córkami nazywał matusią. Lubiła i pieściła dwóch małych, a potem dorastających chłopców, którzy wczesnie stracili matkę. Jednak to gromadne życie rodzinne, które tu znalazł, obudziło w nim uczucie głuchego podrażnienia. Coś się w nim uśmiechnęło ironicznie.

– Więc państwo wszyscy tu ciągle razem...

Jerzy wtrącił.

– Gdy mówisz do nas, Czesiu, opuszczaj tytuły.

– Przyzwyczajenie! – odrzucił Czesław.

Krysia mówić zaczęła, że nie, nie mieszkają ciągle razem. Matka i siostra jej przebywają stale w Warszawie, a tylko w porze letniej odwiedzają ich co rok na kilka tygodni. W tym roku przyjechały na kilka miesięcy z powodu choroby Janki. Właściwie nie jest to choroba, tylko przepracowanie i wyczerpanie nerwowe, dla którego kilkomiesięczny pobyt na wsi...

– Przepracowanie! – z akcentem zdziwienia powtórzył Czesław. – Pani nazywa tak chyba rauty, wizyty, teatry i tym podobne trudy, wśród których panie...

– Naprzód! – żywo przerwała Krysia – nie jestem dla ciebie, Czesławie, panią, tylko żoną twego brata i przyjaciółką twą od dzieciństwa, Krysią... A potem: rauty, wizyty, teatry... gdzież tam!... Janka od lat czterech jest lekarzem, czy lekarką... doktorem, czy doktorką? o Boże, sama nie wiem, jak, bo to jeszcze nie ustalone... jedni są za rodzajem męskim, drudzy za żeńskim... Jurku! jak trzeba w takich razach mówić: doktor, czy doktorka?

Śmiała się zwykłym sobie śmiechem srebrnym, serdecznym i nie czekając odpowiedzi męża, opowiadała dalej, że Janka, po otrzymaniu wszystkich potrzebnych dyplomów, osiedliła się w Warszawie, nie dlatego, aby sama przepadała za życiem w wielkim mieście, ale dlatego, że matusia

do niego przywykła i bez wielkiej przykrości opuścić-by go nie mogła... Ma tam matusia biedna swoich przyjaciół starych, swoje wspomnienia... Słaba już jest od pewnego czasu, dolegliwościami różnymi dotknięta i prawdziwe to szczęście, że Janka może w ulubionem jej mieście otoczyć ją wszystkim, do czego przywykła i czego potrzebuje. Praktyka Janki rozwija się pomyślnie, ma ona w zawodzie swym zamiłowanie wielkie i wszystko idzie dobrze, tylko teraz zdrowie jej zachwiało się nieco. Jakaś nerwica sercowa, wcale życiu nie zagrażająca, wynikła z pracy wyteżonej, z wrażeń denerwujących, których w wielkiem mieście na każdym kroku pełno. Ale to przejdzie, to ustąpi najpewniej bez śladu od kilkumiesięcznego pobytu na wsi, na powietrzu leśnem, w odpoczynku, wśród tych, którzy ją bardzo kochają...

Umilkła. Czesław powtórzył:

– Bardzo kochają!

– Czy myślę się, czy istotnie w głosie twym drgnęła ironia, gdy powtarzałeś dwa te słowa? – zapytał Jerzy.

– Nie mylisz się. Może dlatego... że nie pamiętam już jak wyglądają ludzie, którzy się pomiędzy sobą bardzo kochają...

– Przypomnisz to sobie teraz, wśród nas! – zawołała Krysia, rękę ku szwagrowi wyciągając.

Ale on końcami palców tylko dotknął tej, wyciągniętej ku niemu, drobnej, ciepłej dłoni i jakby przypomniawszy sobie, że człowiek światowy milczeć w towarzystwie nie powinien, z widocznie sztucznym ożywieniem mówić i opowiadać zaczął.

Sposób mówienia jego był żywy, a chwilami ozdobny i świetny. Wyjątkowym zdolnościom swym, czy pomyślnemu zbiegowi okoliczności, czy pewnym może fluktuacyom uczuć swych, zawdzięczał, że czystości mowy ojczystej nie utracił i nie przestał posługiwać się nią w ten sposób, w jaki czynią to ludzie z wysoką kulturą umysłową i towarzyską. Czasem tylko jakieś słowo cudzoziemskie, lub jakiś zwrot kaleki wplątywały się mu w mowę, ale były to drobne skazy na tle czystem i błyszczącym. Czasem również jakiś ruch, gest, akcent, zalatywał właściwościami, tym miejscom nieznanymi.

Mówił o samych tylko rzeczach miłych, pomyślnych, pięknych: o pracach swoich, o powodzeniu swem i stopniowem wznoszeniu się coraz wyżej, o cyfrach znacznych, o rozkoszach artystycznych i komfortach przerozmaitych, napełniających stolicę, do której niedawno został powołany i w której odtąd stale będzie przebywał.

Mówił ze zgięciami głosu tak rozmaitemi, z przerwami tak niespodziewanymi i z tak zmiennym wyrazem ust i oczu, że niepodobna było powiedzieć na pewno, czy panującym w tej chwili uczuciem jego był tryumf, lub ironia, radość lub zgryzota. Może z biegiem tajemnych myśli każde z uczuć tych zapalało się w nim, to gasło, lecz wszystko razem było prawdziwą odą do wielkości, która skończyła się na tem, że twarz pieśniarza nagle jakoś zastygła, zmartwiała i z czołem zmarszczonym, w niespodziewanem zamilknięciu pochyliła się nisko nad filiżanką niedopitej herbaty.

Jerzy i Krysia żadnem zapytaniem i żadną uwagą nie przerywali mowy brata i nie odpowiedzieli na nią żadnem słowem. Przez kilka minut pomiędzy trojgiem ludzi trwało milczenie.

Na ganek weszła Janina, a Krysia z większą jeszcze, niż zwykle, żywością rzuciła się ku niej z zapytaniem o dzieci, które z powodu kochanego gościa sama wieczoru tego zaniedbała.

– Czy Jurek bezemnie usnął?

– Wyśmienicie.

– Mogłabym być zazdrosną Jani o tego malca; gdy ona jest tutaj, on kochać mię przestaje...

– To ulubieniec mój – z cicha rzekła Janina i śliczny uśmiech roztworzył na chwilę jej różowe usta.

Usiadła przy stole; twarz jej w zapadłym zmierzchu zaświeciła bladością delikatnego opłatka. Rumieńce, które przed godziną przyniosła z lasu, zgasty bez śladu.

Od dość już dawna nocna pościel świata, ze zmierzchu i gwiazd utkana, opuściła się na ziemię i gdzieniegdzie tylko, w dalekich mrokach lasu haftowały ją dogorywające purpury wieczornych,

zorzowych blasków. Cisza była teraz głębszą jeszcze, niż u dziennego schyłku, bo zwierzęta i ptaki usnęły, a w powietrzu nieruchomem nie poruszał się żaden liść na drzewach i nie chwiała się u ziemi żadna łodyga, ani trawa. Na uciszoną ziemię niebo patrzyło mnóstwem złotych oczu, a las rozlewał po niej rzeźwość bujnej rosy i ziemny zapach swoich zroszonych spodów.

Wśród powszechnego milczenia rzeczy i ludzi, na ganku ozwało się westchnienie tłumione, lecz do stłumienia niepodobne, jakby usiłujące zrzucić z piersi, które je wydawały, ciężar wielki, lub wielkim haustem wciągać w nie ciszę, wonie, ciepło, piękność, gwiazdzistość tej nocy. Zaraz potem, prawie do szeptu znizony głos męski wymówił:

– Jak tu cicho, ciepło, pięknie, gwiazdzisto!...

Kiedy po upływie chwil kilku Kryśka mówić zaczęła, że po zmęczeniu podróży możeby kochany gość chciał udać się na spoczynek, Czesław zawołał:

– O nie, nie! Pozwólcie państwo jeszcze chwilę... jeszcze chwilę... Pod gwiazdami!

O jakich gwiazdach myślał? o tych, co świeciły na niebie, czy o tych, co pod bładem czołem Janiny zamyślane i błyszczące, spotkały się w tej chwili z gorącym blaskiem i przepastnym zamyśleniem jego oczu?

Po upływie pewnego czasu, gdy dwaj bracia znaleźli się sam na sam w pokoju, dla gościa przeznaczonym, Czesław, bardzo blisko przed Jerzym stając, rzekł: Mam prośbę do ciebie, Jurku!

– Nareszcie nazwałeś mię tak, jak nazywali mię niegdyś rodzice nasi! Dlaczego dotąd nie uczyniłeś tego ani razu? Dlaczego mówisz do nas: państwo, do żony mojej: pani? Jest-że to przyzwyczajenie, zubożenie, niechęć do zbliżenia się...

– Nie. To nieśmiałość. Nie śmiem...

– Nie śmiesz? Ty – nie śmiesz?

– Nie śmiem. Ale oddawna już imię twoje, z tem brzmieniem, jakie miało w ustach kochanej matki naszej, wróciło mi do serca i pamięci.

– Wróciło! Więc przedtem... Ale, jakąż to ma być prośba twoja?

– Abyś pozwolił mi tygodni kilka przepędzić w domu swoim.

– Abyś pozwolił! Czesławie!

– Tak. Bo widzisz z odległości wydawało mi się to łatwym... lecz odkąd próg ten przestąpiłem... Czy ty mię teraz znasz – Jurku? Czy wiesz, jakim jestem, jakim się stałem, co uczynić mogłem... Widzisz, można wiele błędzić, a jednak przed oszustwem cofać się, mieć wstręt! ... Oszukiwać cię nie chcę, oto wszystko. Możesz o mnie wiedzieć to tylko, co ci sam powiem. Chcę, abyś wiedział, że wszystkiego nie powiem. Oto. A gdybyś wiedział, to możebyś nie chciał...

Chwila milczenia; potem głos Jerzego przyciszony, lecz stanowczy.

– Chcę wiedzieć to tylko, o czem ty mi powiedzić zechcesz.

– Pamiętaj i to także, że gdybym powiedział, możebyś... nie chciał.

– Nie; cokolwiek się stało i cokolwiek nas dzieli, pozostań tu jak najdłużej.

– Dziękuję. Ale pamiętaj! Podstępnie gościnności twej...

– Mów: przywiązania braterskiego...

– Które niegdyś było tak głębokiem, jak wszystkie twoje uczucia, ale teraz...

– Trwa i pragnie, abyś w tym domu znalazł spoczynek, jeśliś zmęczony i pociechę, jeśliś nieszczęśliwy.

– Dziękuję. Jeśliś nieszczęśliwy... czy wyglądam na nieszczęśliwego?

– Trochę, chwilami...

– Proszę cię, nie zwracaj na to uwagi i nie zapytuj...

– Nie będę.

Byli tą krótką rozmową tak zmęczeni, że musieli usiąść i obaj przesunęli dłonie po czołach, które zapłonęły.

Po chwili Jerzy wahającym się głosem zaczął:

– Chciałbym tylko zapytać cię – jeżeli powiedzieć możesz – co było przyczyną twego długoletniego milczenia?

– Każdy fakt ma swoje przyczyny pośrednie i bezpośrednie. Najbezpośredniejszą przyczyną tego, że odzywać się przestałem, było to, że postanowiłem zerwać na zawsze...

– Ze mną?

– Z tobą, z wami, ze wszystkim co było naszym, a pozostało waszym...

– Czesławie!

– Zerwać i zniknąć. Tak zniknąć, aby imienia mego nikt tu nie wymówił.

– Cóż to było? Gniew? Ambicya granic nie znająca...

– Nie wyszukuj klucza do zagadki...

– Dobrze... przebacz... jednak było coś, co cię ku nam z powrotem zawróciło?

– Ach! zawróciło mię ku wam życie, życie, które obiecuje słońca, a daje pozłacane blaszki, zawróciła mię ku wam tęsknota, która gryzie serce, gasi myśl, rujnuje organizm fizyczny, niszczy duchową równowagę...

– Nostalgia?

– Nostalgia, neurastenia i... wszystko w tym rodzaju. Widzisz, człowiek bywa czasem jak liść, rzucony na dwa potoki, rozbiegające się w strony przeciwne. Płynie jednym, a drugi wywiera na niego taką siłę przyciągania...

– Że liść płynie na fali powrotnej...

– I przez chwilę na niej odpoczywa. Spostrzegam, że mówimy metaforami. Niechże więc będzie o jedną metaforę więcej. Poczytuj mnie za zwiedzacza górskich lodowców i stromizn, który w noc burzliwą przybył do schroniska...

– I po upływie godzin kilku odejdzie?...

– Z powrotem do zwałów lodowych i rozpadlin skalnych.

– Niechże odejdzie z zapasem sił i pociechy...

Podali i silnie uścisnęli sobie ręce. Oczy Jerzego powlekły się mgłą wilgotną; Czesław nadaremnie hamował drżenie warg.

Na stole spokojnie paliła się lampa i spokojnie za oknami stały wyniosłe drzewa. W ciszy pokoju czasem tylko słyhać było jak wielki motyl nocny uderzał skrzydłami o szklaną pokrywę lampy.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.